



Adam Cebula „Paktów nie dotrzemy!”

Adam Cebula



Foto: Adam Cebula

Jak w SF funkcjonuje motyw katastroficzny? Można by odpowiedzieć „dobrze”. Co chwilę ktoś wysadza świat, ktoś inny świat ratuje (albo wszechświat). Bez totalnej katastrofy fantastyka miałaby się kiepsko. Widza (czytelnika), który pewnie już niezbyt świadom tego, ma zaimplementowane przez kulturę lęki z czasów Zimnej Wojny, gdy zagłada atomowa wisiała na omyłkach operatorów prymitywnych na dzisiejsze czasy radarów, a świat kilka razy otarł się o nią dosłownie o włos, nie rusza zniszczenie jednego wielomilionowego miasta. Jeśli coś ma zbudować napięcie, to nic poniżej zagłady cywilizacji go nie ruszy.

Jest sprawą mocno dyskusyjną, czy straszenie czytelnika lub widza ma cokolwiek więcej na celu poza „wypłaszaniem rozumu”, tym, by - żrąc mimowolnie popcorn albo frytki - odjechał spokojnie od rzeczywistego świata i rzeczywistych trosk, a tym bardziej zagrożeń. Aliści ciut ambitniejsza literatura przynajmniej udaje, że stara się zajmować prawdziwym światem. Scenariusze starają się wydusić jakiś element prawdopodobieństwa, przynajmniej przywołując hasła, jakimi straszą nas publicyści: zmiany klimatyczne, huraganowy rozwój informatyzacji życia, straszliwe skutki inżynierii genetycznej, aż po wybuchy słoneczne. Powiedzmy to sobie szczerze: literatura przez tysiąclecia była nauczycielką, lecz dziś tak naprawdę odwołania do pozorów prawdopodobieństwa mają na celu raczej wzmocnienie strachu. Odległość od rzeczywistości jest za wielka. Nie ma sposobu, by metabolizm roślin przyspieszył tak bardzo, by mogły się one poruszać. Tryfidy nie powstaną w laboratoriach biologów. Nie da się też rach, ciach odtworzyć dinozaura, mając tylko jego DNA, nawet kompletne. Nie zapanuje się nad światem za pomocą komputera, o ile wcześniej pracowicie sami wszystkiego nie podłączymy do netu, a i skutki tego okażą się o wiele mniej spektakularne niż w filmach.

To wszystko prawda, ale cząstką nośności czy to kina katastroficznego, czy powieści przedstawiającej świat po zagładzie, jest refleksja, że coś w tym jest. Przez to też wizje z „Mad Maxa”, „Płonącego wieżowca”, ale też Orwella czy Zajdla albo z „Pamiętnika przetrwania” Doris Lessing trafiają do nas, bo nowy wspaniały świat nie wymaga komentarza, a tym bardziej przestrogi.

Przez to Aldous Huxley wielkim pisarzem jest, że czytając go, rozumiemy, że świat może pójść w tym kierunku, boimy się, ponieważ w rzeczywistości widzimy drobne strumyczki podążające w kierunku tego, co autor opisał.

A poza tym? No cóż, powiedzmy sobie szczerze: powodzenie jest nudne. Jeśli wszystko idzie dobrze, nie ma tego zasadniczego paliwa, na którym pracują całe epika i dramat (o ile rozumiem teorię literatury) od zarania dziejów ludzkości. Aby cokolwiek było interesujące, musi być konflikt, zagrożenie, musi być jakaś przemiana, bo ruch daje życie wszelkim utworom, muszą się zderzać interesy, musi być ryzyko, niepewność, w im większej skali, tym bardziej, tym mocniej wciąga. Otóż jeszcze jedno: wizje zagłady niejako same w sobie przyciągają naszą uwagę. Która część Nowego Testamentu jest znana każdemu przynajmniej z nazwy? Apokalipsa. Święty Jan? Mniejsza z nim, ale co oznacza słowo „apokalipsa”, wie, mam nadzieję, każdy. Nie znajdziemy w niej wyrazistej fabuły, stron konfliktu (owszem, są, choć mgliste, czyli piekło i niebo), to nie Iliada, gdzie można opowiedzieć losy bohaterów... a jednak wizje unicestwienia sprawiają, że stała się synonimem zagłady, wielkiej katastrofy, no powiedzmy sobie, katastrofy niezwykle widowiskowej.

Chcesz, autorze, utrzymać uwagę czytelnika? Bez potężnego, sugestywnie opisanego łupnięcia (a nawet dupnięcia), bez rujnowania, rozwalania, bez gwałtownych zmian w całym otoczeniu – ani rusz. Potrzebujesz demolki, nieszczęścia, konfliktu, bo bez tego czytelnik, o ile nie jesteś nadzwyczajnym mistrzem albo nie masz niezwykłego pomysłu, współczesny czytelnik zaśnie, widz wyżre wszystkie frytki przed końcem seansu i przecież będzie musiał wyjść kupić nowe, zaś o słuchaczu słuchowisk wspominać nie można nawet, bo takowi nie istnieją. Lecz gdyby się pojawili, to zostaną przy radiodbiornikach, o ile będzie transmitowana inwazja Marsjan na żywo.

Z tego, co powyżej, płynie też taka nauka, że nienajmądrzejszym pomysłem jest zajmowanie się apokalipsą od strony warsztatowej. Nikogo od czasów, gdy Alfred Hitchcock powiedział: „Film powinien zaczynać się od trzęsienia ziemi, potem zaś napięcie ma nieprzerwanie rosnać” nie trzeba przekonywać, że trzęsienie ziemi jest potrzebne, jedyny problem w tym, jak je pokazać. Znacznie ciekawiej jest spojrzeć na to, co budzi w czytelniku opisywanie totalnych zagład, pochylić się nad tym, ku jakim refleksjom my, czytelnicy lub widzowie, możemy popłynąć.

No więc: jak porządna literacka czy filmowa apokalipsa powinna wyglądać? Jest problem, ponieważ mamy w historii ludzkości kilka zapaści znamienitych kultur, ale o ile rozpały one w dawnych czasach namiętne spory i budziły emocje elit, to dziś trącą mdłą podręcznikową nudą. Wystarczy sobie przypomnieć, że na lekcjach historii przepytywano nas o umowne daty. Tak, coś tam upadało i upadło, a naszym obowiązkiem jest wiedzieć, jak się historycy umówili, ponieważ to coś, na ten przykład Cesarstwo Rzymskie, upadało tak rozlaźle i niezdecydowanie, że w międzyczasie całe pokolenia poumierały, najwyraźniej z nudów. Powiedzmy sobie szczerze, trudno wymyślić coś bardziej odstręczającego czytelnika czy widza, niż umowna data upadku, a do dyspozycji mamy prawie wyłącznie takie zdarzenie gdzie zamiast coś porządnie łupnąć, jak Wezuwiusz nad Pompejami (24 sierpnia 79 r.), sprawy działały się, jakby się nic nie działo, a historycy się umawiali i dla potwierdzenia tego to się różni poumawiali na różne daty.

Apokalipsa w wersji dla czytelnika (tym bardziej dla widza), musi być wyrazista. Jeśli mamy utrzymać uwagę publiki, to najlepiej, jeśli jest jeden delikwent, który chce zawładnąć światem, który – aby dopiąć swego – używa jakiejś sugestywnej metody, maszyny, wirusów (cokolwiek to oznacza), chemikaliów czy czegoś temu podobnego.

Warunek sugestywności pociąga za sobą względną prostotę oraz wyklucza – nazwijmy to – prozaiczność. Przyczyna katastrofy nie może być codzienna. Nie można wysadzić cywilizacji czymś, czego na co dzień doświadczamy, bo nam przecież publiczność wyjdzie z kina.

Otóż w kwestii owej prozaiczności to całkiem niedawno przeżyłem pewne zaskoczenie. Przeczytałem o upadku pewnej kultury prekolumbijskiej. Może dla pozostawienia wrażenia ogólności nie należy dodawać, że chodzi o Majów oraz okres ok. IX i X wieku. To mało ważne, rzecz w tym, że archeologów gnębiła zagadka zniknięcia wielkiej cywilizacji. Porzucone miasta stanowiły groźne memento, domagające się wyjaśnienia.

Rzecz charakterystyczna, że dla wyjaśnienia katastrofy cywilizacyjnej konstruowano teorie bliskie tym ulubionym schematom fabularnym z rozrywkowej SF. A to zaraza, a to bunt chłopów, wielkie trzęsienia ziemi, najazdy dzikich plemion, aż po upadek asteroidy. Warto zwrócić uwagę, że poszczególne pomysły były medialne, efektowne, bardzo spójne, rzekłbym: jednorodne. No bo jeśli spada asteroida, to jest przyczyną wszelkich klęsk, pożarów, głodu, epidemii, i nic nie potrzebuje dodatkowego uzasadnienia. Podobnie najazd dzikich plemion wystarczą, by nastąpiły – jak w poprzednim przykładzie – głód i pożary. Podobnie skuteczne są wielkie trzęsienia ziemi.

Otóż sprawy miały się okazać złożone. [Owszem, nastąpiły susze](#), lecz Majowie byli przygotowani na kaprysy klimatu. Kilkaset lat wcześniej dobrze przetrwali kiepski okres. Co więc stało się w feralnych czasach?

No i tu dochodzi motyw spoza kanonu możliwego do zastosowania w powieściach SF czy innego gatunku, byle rozrywkowego. Owszem, dobrze się może sprawdzić w ciężkim realistycznym romansidło historycznym (a romansidło nie oznacza historii o miłości), ale nie w dziele przeznaczonym dla szerokiego współczesnego odbiorcy. Bo go zanudzi na śmierć. Dlaczego? Przez swoją skrytykowaną wyżej prozaiczność.

O ile zrozumiałem, archeologom udało się odczytać wykute na budowlach inskrypcje i wynikała z nich zwykła historia walk o władzę, narastający chaos w imperium, rabunkowa gospodarka rolna oraz coraz to większa brutalność konfliktów, jakie wybuchały między poszczególnymi, chciałoby się rzec, partiami. Mówiąc w uproszczeniu, co prawda zdarzyła się susza, ale ona tylko przyspieszyła to, że miejscowa ludność wzięła się za łby, zamiast współpracować ze sobą choćby przy konserwacji infrastruktury wodnej, którą wybudowali ich przodkowie.

Jeśli się zastanowimy nad przyczynami wyniszczenia cywilizacji, to tak naprawdę jest tylko jedna: ludzie. Owszem, bywają to obcy ludzie. Można powiedzieć o zniszczeniu cywilizacji Azteków przez najeźdźców z Europy. Aliści jest pewien niuans w historii rozbicia imperium przez Corteza: umiejętne wykorzystanie istniejących napięć i nienawiści pomiędzy plemionami. Gdyby Hiszpanie nie zjednali sobie niejakich Totonaków czy mieszkańców miasta Tlaxcala, to wyprawa licząca początkowo około 600 ludzi nie miałaby najmniejszych szans na podbicie ogromnego i ludnego imperium. Dziś szacuje się, że niejedno tamtejsze miasto liczyło ponad 300 tysięcy mieszkańców, w związku z czym Aztekowie mogli Hiszpanów naprawdę nakryć czapkami.

Jeśli mamy dużą formację kulturową, gospodarczą i administracyjną, to jej upadek ma zawsze jedno podłoże. Z zewnątrz może to wyglądać inaczej, może się zdawać, że to np. zmowa Prus, Rosji i Austrii, wyprawa Corteza albo susza, ale naprawdę stało się wcześniej coś innego. Nie darmo od starożytności ludzie się boją się tak zwanego upadku obyczajów.

Można to sformułować bardziej prawniczo i sucho: „paktów nie dochowywać”.

Warto zrobić jeszcze jedną dygresję. Wiele razy w trakcie mojego życia przyszło mi rozwiązywać zagadkę, która – choć w różnej formie – zawsze zdawała mi się dość naiwna. Mnie ona prawie nigdy nie sprawiała trudności, potrafiłem zawsze podać niezawodny i bardzo prosty algorytm jej rozwiązania. To rysunek kilku kół zębatach połączonych ze sobą, i pytanie: jeśli pierwsze koło kręci się w prawo, to w którą stronę kręci się koło ostatnie?

To moim zdaniem dość siermiężny test na zdolność do modelowania rzeczywistości w swojej głowinie. Powszechność występowania owej zagadki zastanowiła mnie. Zgłębiłem sprawy na tyle, że wiem już: nie wszystkim idzie z tym dobrze. Bywają tacy, którzy wykładają się na obie łopatki.

Nie wiem, czy test jest mądry, czy głupi, ale zdolność do przewidzenia, w którą stronę się pokręci, albo jakie w ogólności będą skutki jakiegoś zdarzenia, to jedna z najważniejszych, być może najważniejsza, cecha ludzi. Powód tego, że są ludźmi, a nie zwierzętami.

Wydawać się może, że zdolność przewidywania, co z czego wyniknie, nie ma za wiele wspólnego z owymi kołami. Ale niestety test, który sprawdza, które koło jak wpływa na inne, sprawdza, czy potrafimy powiązać ze sobą pozornie odległe zdarzenia, które są od siebie oddzielone czymś jak owe koła - innymi zębatkami.

Myślenie zaburza diablo skutecznie bardzo banalny „rozdzielacz”, osobliwy zestaw zawitych kół zębatych, jakim jest czas. Jeśli skutek od przyczyny dzieli choćby kilka dni, ludzie są skłonni wierzyć, że nie mają one ze sobą związku. Ależ tak, są (były? zostały opisane?) społeczności, w których nie łączono seksu z zajściem w ciążę.

Kłopoty z testem o kręcących się zębatkach dają ciekawe rezultaty, gdy analizujemy błędne odpowiedzi. Otóż za czasów szkolnych zdarzało mi się widzieć takie rozwiązania, gdzie dawało się odtworzyć tok rozumowania. Musiało wyglądać to mniej więcej tak: „skoro kół jest zbyt wiele, to musimy pominąć część lub wszystkie pośrednie, by dać jakąś odpowiedź”. Tymczasem każde kolejne koło zębate może zmienić kierunek obrotów. Jeśli chcemy znać odpowiedź, nie wolno pominąć żadnego. Ale cóż, skoro jest ich tak wiele... Czasami odpowiadający próbowali toczyć boje o prawdziwość swojego rozumowania.

To osobna sprawa: jak sobie ludność radzi, gdy liczba kół jest za wielka, jak na rozum możliwości rozumu. Warto sobie uzmysłowić, że właśnie tak to działa. Skoro nie potrafimy przeanalizować działania mechanizmu, zakładamy coś - z reguły jakieś drastyczne uproszczenie - i tak dochodzimy do zazwyczaj całkiem błędnych, i co gorzej, katastrofalnych wniosków. Skąd się biorą owe wnioski? Zazwyczaj z prostego założenia: „pójdzie po naszej myśli”.

Wielokrotnie mamy sytuację, gdy zwyczajnie brakuje danych albo jest ich zbyt wiele, by przewidzieć co się stanie. Nie szkodzi, zazwyczaj dopiero wówczas różni wróżbici rozwijają swe erystyczne (oratorskie?) talenty.

Trzeba wielu katastrof, by uznać za zasadę, że w złożonych sytuacjach jednak dobrze jest przyjąć za prawdziwe wyniki nie błyskotliwego rozumowania, ale eksperymentu. To właśnie eksperyment doprowadził do tego, że ludzkość jako jedną z plag uznała ów „upadek obyczajów”. Warto zwrócić uwagę, że choć ten motyw często występuje począwszy od starych sag, skończywszy na współczesnej literaturze i publicystyce, to gdy przychodzi do opisu mechanizmu prowadzącego do katastrofy, jest kiepsko. Nawet gdy się go podaje, nie ma w nim oczywistości takiej, jak w przypadku kół. Bo na przykład obrażani ludzie nie muszą reagować gniewem, podburzany tłum nie musi wywołać tumultów.

Że się upadku obyczajów bano, świadectwem jest choćby Stary Testament. Przestrzeganie zasad Pisma było warunkiem przetrwania plemienia Izraela. Dlatego spisano zasady tak szczegółowo, tak rygorystycznie ich przestrzegano, bo odchodzenie od nich pachniało apokalipsą. Co prawda nowotestamentową, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Diagnoza była błędna, za niebezpieczną uznawano bowiem wszelką zmianę, blokując - mówiąc po współczesnemu - wszelkie reformy. To nie do końca opierzone myślenie o społecznym porządku w

rzeczy samej, moim zdaniem, sprowadzało się do zachowywania (albo nie) paktów, umów i zobowiązań.

Zasada, która działa, jest jednym z najważniejszych osiągnięć myśli rzymskiej. Pacta sunt servanda to nie powiedzonko dla pięknoduchów. Osobna sprawa, czy jest ona wynikiem dobrych obyczajów, jedno warto zauważyć, że gdy ktoś wpada na pomysł, by umów nie dotrzymać, trudno powiedzieć, by owe obyczaje zachowywał. Aliści prawnicze brzmienie odkrywa skutecznie piękną cechę, jaką jest wierność zasadom, umowom i obyczajom; wielu umowom społecznym jakie człowiek zawiera, od estetyki począwszy, i przenosi nas w dziedzinę czysto praktyczną.

Bez tej zasady nie zadziała właściwie żadna z podstawowych instytucji cywilizacji. Dostałeś towar do garści, czym wydaje ci się, że nie opłaca się dotrzymać umowy i zapłacić za niego. W danym momencie jak najbardziej opłaca się czmychnąć, gdzieś zniknąć, pokazać figę, łąć, że okradli, a towar nie nadaje się do niczego.

Że jednak lepiej było zapłacić, przekonujemy się po jakimś czasie, choćby gdy znowu potrzebujemy chleba, butów, portek, i dostaniemy je lub nie w zależności od dotrzymania (lub nie umowy). Wiarołomność lub uczciwość – była to jedna z kluczowych cech najemników zarabiających na udziale w wojenkach. Podła reputacja owych bandziorów oferujących za pieniądze mordowanie wynikała właśnie z tego, że nie dało się określić, po której staną stronie, i czy – opłaceni – na polu bitwy dotrzymają umów, i gdy przestanie się im opłacać nadstawiać głowy, zwyczajnie nie wezmą nóg za pas, albo, co gorzej, nie przejdą na stronę przeciwnika.

Wystarczy nie użyć słowa „wiarołomność”, by niedotrzymywanie zobowiązań stanęło w zupełnie innym świetle. A tak, większość znanych mi rewolucji za swój naczelny cel miała zerwanie jakichś niewygodnych umów. Jedne się udawały, inne nie, ale rezultat rewolucji był taki, że rewolucji zaczęliśmy się bać. Warto sobie uzmysłowić, że choć rewolucjoniści przekonywali, że będzie dobrze, o tym, że zębate koła losu pokreśliły się w przeciwną stronę, przekonaliśmy się na własnej skórze. Nie wymyśliliśmy tego, aleśmy doświadczyli. Choć wydaje się, że dobrze panom zabrać, w sumie źle się to kończy dla wszystkich.

Nie chcę za daleko wkraczać na teren polityki, lecz testem na lewicowość jest w istocie stosunek do dotrzymywania (lub nie) umów. Test niewygodny, ponieważ umieszcza on wielu wrzeszczących, że czerwonych na latarnie, właśnie w szeregu niebezpiecznych rewolucjonistów... ale niestety funkcjonalny. Niewiele nas muszą obchodzić polityczne alianse, przynależność do tych czy innych ugrupowań. Istotne jest, czy podmiot polityczny chce umów dotrzymywać, czy też, powiedzmy to wprost, zrobić rewolucyjny bałagan w gospodarce i wszystkich innych dziedzinach życia.

Wystarczy, by wiarołomność albo zwyczajny rabunek nazwać na przykład sprawiedliwością – społeczną albo boską – i już tracimy z oczu owe koła, które winny nas ostrzegać, że przyczyna rodzi skutek, a zmiana reguł gry, jak dołożenie jednego koła więcej, lub jego usunięcie, spowoduje, że cały mechanizm pokręci się w drugą stronę.

Skoro o katastrofach, jak w praktyce ginęły cywilizacje? Jak obiecywałem na początku, w tym miejscu nauka zwana historią okaże się nudna. Na dobrą sprawę nikt nie potrafi podać jednej przyczyny upadku Cesarstwa Rzymskiego. A, co spowodowało rozpad imperium Aleksandra Macedońskiego? Wygląda, że samo się rozleciało. Wodzowie wzięli się za łby i szybko było po zawodach. Co ze starożytnym Egipcem? Kiedy Aleksander Macedoński wkroczył w 332 roku p.n.e. na jego tereny, było już właściwie po Egipcie. Nie było podboju, bo wojska greckie weszły bez walki. Egipt nam się jakby... rozplynął, rozmasał na przestrzeni stuleci.

Możemy powiedzieć, że upadek Cesarstwa Wschodniorzymskiego był spektakularny, bo nawet nie

brakło huku działań, które kruszyły mury Konstantynopola. Tylko że właściwie był to upadek Bizancjum, które było jakąś marną resztką Cesarstwa. Końca Cesarstwa upatruje się długo przed 1453 rokiem, np. w czasie IV krucjaty, w roku 1204, gdy krzyżowcy i Wenecjanie opanowali Konstantynopol. Prawda jest taka, że gdy Turcy stanęli jego pod murami, Bizancjum było państwem władającym okolicami samej stolicy. Po potędze, która trzęsła ziemią niemal nad całym Morzem Śródziemnym i częścią Czarnego, zostały jedynie legendy. Bizancjum pozbawione wpływów politycznych w Europie i wsparcia militarnego było zwyczajnie łatwym i oczywistym łupem. Wkroczenie Turków kończyło tylko długi proces rozkładu i upadku, którego znaczną częścią były wewnętrzne waśnie, mówiąc językiem nieco poetyckim, nagminne niedotrzymywanie paktów. Sam końcowy akt był bezpośrednim wynikiem złamania solidarności między chrześcijanami, którzy nie udzielili wsparcia – co prawda zbuntowanym ale jednak – braciom w wierze, oraz oporowi części prawosławnego duchowieństwa przed sojuszami z Rzymem i papieżem. W rzeczy samej chyba paktów nie zawarto.

Tu przydałaby się dłuższa refleksja, że mądrością jest nie tylko dochowywanie paktów, ale także ich zawieranie. Jednak zatrzymajmy się na tym etapie, że władza cesarza Bizancjum została zakwestionowana i nie był on w stanie zawrzeć sojuszy, które mogły uratować sytuację jeszcze w XV wieku, gdy po potędze zostały wspomnienia. Mniejsza, czy to był bunt, czy spór polityczny w ramach systemu, ale z pewnością oponenti sojuszy z papieżem i innymi siłami katolickiej (więc wrażej) Europy gorzko pożałowali swej postawy.

Choć upadek Konstantynopola wydaje się takim spektakularnym, świetnie nadającym się dla literatury wydarzeniem, gdzie cywilizacja ginie w akompaniamencie wystrzałów i świetle pożogi, istotne wydarzenia były zaprzeczeniem dramatyzmu, nie miały w sobie krztyny teatralnej czy filmowej atrakcyjności i – co najgorsze dla potencjalnego literata – były rodzajem takiego zawilego mechanizmu, złożonego z wielu kół zębatach, zawitych przekładni łańcuchowych, jakiś sprzęgieł raz ciernych, raz hydrodynamicznych. Wynik działania jest kompletnie niezrozumiały nawet dla zjadłego czytelnika, nie sposób nie pogubić się w tych wszystkich zależnościach.

A upadek I Rzeczypospolitej? Dla obrabiających tematy „koń a sprawa polska” to klasyka, wiedzą, że są teorie, że kłopoty zaczęły się już w momencie szczytu potęgi owej Polski od morza do morza, tak około roku 1490. Bywa opisywany dość złożony mechanizm, który nieuchronnie doprowadził do katastrofy. Potęga Jagiellonów to jedno koło, innym jest odkrycie Ameryki w 1492 roku i konsekwencja tego wydarzenia w postaci strumienia kruszców napływających na Stary Kontynent. To znacznie ożywia handel. Polska sprzedaje głównie zboże. To staje czynnikiem, ekhem, trudne słowo, ruralizacji obszarów na wschód od Wisły. Czyli po ludzku mówiąc: wielkim magnatom znacznie większe zyski niż rozwój miast, handlu rzemiosła, czyli niż industrializacja, przynosi zewszien, zagonienie, kogo się da, do roli. Wielkie rody magnackie na tym handlu się bogacą i umacniają, a kraj się ruralizuje, czyli cofa w rozwoju. Słabnie administracja, władza królewska, psuje się prawo, ginie wiedza technologiczna, stajemy się chorym człowiekiem Europy. A rozbiory były tylko konsekwencją tego rozkładu, nie płacono żołdu wojskom, magnaci stanowili swoje prawa, szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie.

Katastrofa Francji w początku II wojny światowej – czyż nie może to być przykład spektakularnego końca? Zali jednak u fundamentu nie stało wiarołomstwo w stosunku do uważanej na Zachodzie za rządzoną przez półfaszystowski reżim II Rzeczypospolitej? A gdyby tak nasi sojusznicy wywiązali się ze zobowiązań traktatowych i ruszyli we wrześniu 1939 roku z ofensywą na Niemcy?

Konkluzja tych rozważań jest taka: gdy chcemy opisać jakąś wielką katastrofę w naszym świecie, i ta katastrofa ma mieć związek z rzeczywistością, gdybyśmy chcieli sobie wyobrazić jakiś armagedon, to o ile nie chcemy oszukiwać, mamy do dyspozycji jedynie tak zwany czynnik ludzki. A może społeczny, ale on jest zawsze taki sam: ludziom w głowach coś się przekręca i zaczynają wymyślać powód na to,

by paktów nie dochowywać.

Jeśli jakaś społeczna formacja ma się zawalić, to zaczyna się od tego pomysłu. Zdawać by się mogło, że czasami nie dało się inaczej, że zrywanie paktów bywa zbawienne, ale... Z pewnością było tak, że rewolucja francuska, która na Zachodzie do dnia dzisiejszego straszy dzieci i dorosłych, uratowała jednak Francję przed gospodarczą katastrofą, w jaką ją ciągnęły nieudolne feudalne rządy. Aliści warto na to spojrzeć jak na długotrwały proces. Słowo się wcześniej rzekło, że imperia w starożytności upadały przez całe stulecia. Co poprzedziło ową rewolucję? Rzec by można, że sprzeniewierzenie się tak zwanej elity społeczeństwa, czyli arystokracji, zobowiązaniom wobec ludu, jakie głosiła. Ano, w dawnych czasach rycerz na włościach miał sens.

Za średnich wieków potrzebny był osiłek na koniu, okuty w blachy, by chronić włościan przed innymi osiłkami, którzy zamiast pobierać uczciwą dziesięcinę, łupili do dna. Potem potrzebny był ktoś paplający po łacinie i rozsądzający spory między lichwiarzami i miejscowymi, i owszem, wtedy tak zwana elita miała ważne zadania do wypełnienia.

Nie jest istotne, czy arystokracja pierwsza zaczęła sobie lecieć w płotki, w gumę czy jak kto tam chce to nazwać, czy też chłopci zaczęli od oszukiwania przy dziesięcinie. Istotą jest, że stosunki społeczne się rozlazły i prosty pakt, kto kogo ma słuchać, na którym wszystko się trzymało, odparował się tak bardzo, że musiało rypnąć.

Inna sprawa, że w historycznych czasach właściwie zawsze są tacy, którzy wiedzą, co się dzieje, wiedzą, co trzeba przedsięwziąć, i reszta wie, że oni wiedzą dobrze. Nawet ci, co wrzeszczą, że nie wiedzą. Dlaczego duchowni bizantyjscy przeciwstawiali się sojuszom z katolicką Europą? Czy mogli mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że lepiej mieć po swej stronie więcej wojska niż mniej? Nie mieli, tylko obawiali się, że stracą wpływy. Wiedzieli, że cesarz miał rację, chcąc zawrzeć sojusze. Tak naprawdę wypowiedzieli społeczeństwu prosty pakt lojalności, czasami nazywany patriotyzmem, który zakazuje działania na szkodę kraju. A oni woleli zaryzykować byt resztek imperium, by nie ryzykować posiadanej władzy.

Podobnie rządząca we Francji arystokracja wypowiedziała swą powinność, którą nie raz deklarowała, by pilnować interesów narodu. Dalszą sprawą są społeczne reformy, ale wystarczyło pilnować elementarnych gospodarczych problemów, nie dopuszczać do głodu, do bezmyślnego łupienia poddanych, a być może nie tylko udało się uniknąć zlogarytmowania (albo zgilotynowania, dla tych, co potrafią logarytmy) Ludwika Kilkunastego, ale też gładko wkroczyć z monarchią w okres rewolucji przemysłowej, jak się udało w kilku innych krajach.

Literacka opowieść o tym, jak upadają cywilizacje, powinna zasadzać się na jednym prostym efekcie czy procesie, by czytelnik odczuł jakiś porządek wydarzeń, a nie utonął w chaosie niepowiązanych ze sobą nieszczęść.

To „paktów dochowywać” jest chyba taką uniwersalną zasadą, na której złamaniu da się wyprowadzić większość katastrof, jakie w historii ludzkości się zdarzyły. Problem w tym, że... no właśnie, te wiele sprzężonych ze sobą kół zębatych stanowi zbyt wielką zagadkę dla wielu głów. Przyczyna jest uniwersalna, ale niestety trzeba sporo się namyśleć, trzeba sporo wiedzieć, i mieć ochotę poznać prawdę, aby zauważyć, co prowadzi do nieszczęścia, i że - co więcej - jest to nieuchronne.

Cały populizm opiera się właśnie na tym, by odrzucić jakieś pakta, które zdają się w pewnym momencie krępujące. To dokładnie ta sama historia, gdy osobnik dostaje do ręki towar i wpada na pomysł, by z nim uciec ze sklepu, nie płacąc. Dla człowieka żyjącego w naszej strefie kulturowej pomysł zdaje się szalony, bo w jego głowie setki razy przetrenowano połączenie przyczyny ze

skutkiem. Incydent zarejestrują kamery, za chwilę buźka będzie w policyjnym rejestrze, i tak dalej.

A jednak gdy przejdziemy do jakichś mniej oczywistych sytuacji, choćby jak rządzić, a w ramach tego jak i dlaczego rozdzielać pieniądze na naukę i kulturę, do zdarzeń trenowanych bardzo rzadko, wszak obywatel zwykle nie jest posłem, do tego na przykład uchwalającym budżet, człowiek z naszej strefy kulturowej będzie myślał mniej więcej wedle schematu: „teraz ucieknę, a potem zobaczymy”.

Cała rewolucja bolszewicka w Rosji da się sprowadzić do tego pomysłu: „paktów nie dochowywać”. Można być bardziej dosadnym i powiedzieć, że był to zwyczajny rabunek. Usprawiedliwiono ograbienie jednych przez innych, i bynajmniej niekoniecznie bogatszych przez biedniejszych. W naszej terminologii podeptano cywilizacyjny pakt o własności prywatnej, sposób uregulowania życia społecznego funkcjonujący od czasów rzymskich i Starego Testamentu, który można wyrazić prostym: „ani żadnej rzeczy, która jego jest”.

Zawsze upieram się przy tym, że najważniejszy wpływ na ludzi ma technologia. Patrząc z tej perspektywy, przychodzi mi pokłonić się przed technologią, nazwijmy to tak, myślenia o społeczeństwie, gdzieś z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Mniejsza o historię, ale fakt jest taki, że zasad prawa, które wywiedziono w owych czasach, nie daje się poprawić do dnia dzisiejszego, a co więcej, nie są one zrozumiałe dla współczesnych ludzi.

Ano choćby to, że niezachowywanie paktów prowadzi do katastrofy. Rzymianie nie dlatego wprowadzili tę zasadę o dochowywaniu, że nikt co do niej nie miał. Odwrotnie. Bo przekonali się, że na przestrzeni dziejów często, gęsto zdarzają się sytuacje, gdy wydaje się, że wiarołomstwo jest korzystne i uzasadnione – jak rabunek podczas rewolucji. Mówiąc prawdę, rzadko pakta nie są przeciw nam.

Owi najemnicy, w bitwie przechodzący na stronę przeciwnika, często ratowali w ten sposób swoje życie, lecz tym samym zapracowali na reputację, która zezwalała traktować ich jak zbójców i wieszać po schwytaniu bez ceregieli.

Rzymianie wymyślili zdawałoby się oczywistą zasadę na wypadek okoliczności, gdy jej łamanie bywało usprawiedliwiane, zdawało się uzasadnione jakimiś wyższymi okolicznościami, albo gdy zwyczajnie trudno było się dopatrzeć profitów z paktu. Zasada została skodyfikowana, bo właśnie nazbyt często okazywało się, że rebus sic stantibus (skoro sprawy przybrały taki obrót), żadnego dochowywania nie będzie. Skoro sprawy na polu walki obrót miały się tak, że przeciwnik, przeciw któremu najemnicy zgodzili się walczyć, wygrywa, to bierzemy nogi za pas. Skoro sprzedawca w sklepie wyszedł na zaplecze, łapiemy towar i w nogi. I tak dalej.

Jak się sypią wielkie cywilizacje? Znamy chyba tylko ten jeden mechanizm. Ktoś sobie mówi, że rebus sic stantibus, i zamiast odziany w blachy ruszać w pole jak jego ojciec i dziad, dopuszcza, by jakiś watażka na pograniczu grasował i puszczał z dymem wioski. Okoliczności niby są takie, że po oręż należałoby sięgać, aliści wielmoża zdrożon, konie niepodkute, a pogoda tak paskudna że, że błoto na drodze, jak okiem sięgnąć. Ktoś inny stwierdza, że skoro sprawy przybrały taki obrót, że wielmoża blach nie przywdziewa, tylko stopy przy kominku grzeje, to on też zamiast pilnować zwierzyny w lesie, coby jej kłusownicy nie trzebili, zajmie się czymś dla siebie bardziej użytecznym. Ktoś inny uznaje, że skoro władza w krainie zaczyna się rozłazić, warto by jakowegoś Szele Jakuba wynaleźć dla wzniesienia tumultu, bo na niczym tak Wokulski nie zarobił, jak na wzajemnym wyżynaniu się.

Syntezą moich kół zębatach i dumania nad apokalipsami jest stan współczesnych pomysłów na naprawianie świata, który przecież zgodnie z degeneratywną koncepcją dziejów winien się walić i walić, i jedynie prawo ma być gorszym od czasów minionych. Otóż, jak się wkoło rozejrzeć, to właśnie mamy wysyp pomysłów, jakich by tu umów nie dotrzymywać. Świeżo obrany prezydent USA

już wysadził w powietrze przynajmniej jedno porozumienie handlowe dotyczące handlu w rejonie Pacyfiku. Spece twierdzą, że tym sprytnym posunięciem załatwił sobie postęp dominacji Chin w rejonie na długie lata. Jakkolwiek obiecywał coś odwrotnego.

Pomysł na zatrzymanie Chińczyków opierał się bowiem na umówieniu się, że utworzymy strefę „wolniejszego” - czy nawet wolnego - handlu, która powinna generalnie pobudzić rozwój gospodarczy. Oczywiście Chiny były poza nią. Niestety, strefa wolnego handlu generalnie wkurza wszystkich, bo prócz tego, że towary zwykle tanieją, bo wytwarzają je producenci, którzy zwykle mają ku temu najlepsze warunki, to oczywiście wszyscy inni produkujący ten sam towar albo muszą się podciągnąć, albo wypadają z rynku. Zazwyczaj jest tak, że o wiele silniej - zwłaszcza na początku - po zawarciu umów odczuwa się nacisk konkurencji, niż to, że sytuacja w gospodarce idzie w dobrym kierunku. Za ileś lat, gdy opadnie reformatorska zawierucha, i ludzie znajdą się w nowej sytuacji, okaże się, że jest i robota, i tanie towary, ale gdy się to jeszcze nie stało, mamy wielką pokusę, by zerwać wszelkie umowy o wolnym handlu i ratować własne przedsiębiorstwa zaporowymi cłami.

Niekoniecznie nawet musi być tak, że po zerwaniu umów sytuacja w kraju chwilowo się poprawi, chodzi o to, że gdy jesteśmy skoncentrowani na jednym efekcie, nie dostrzegamy innych. Zamykamy granice, zaczynają prosperować nasze przedsiębiorstwa, i to jest dla nas sukcesem. Zaś to, że natychmiast poszły w górę ceny produkowanych przez nie produktów, zauważymy dopiero gdy pójdziemy do sklepu. I ta refleksja nie musi być natychmiastowa i jednoznaczna, bo przecież ceny „podniósł sklep”. Że został zmuszony przez dostawców, tego przy kasie nie widać.

Jeszcze mniej oczywista jest sytuacja bijatyki w naszym kraju, tej o niezależność sądownictwa. Po pierwsze, mimo że ciągle się powtarza, trzeba mieć wiele dobrej woli, by to zauważyć. Chodzi o to, że władza wykonawcza jest wkurzona, że sędziowie mogą wydawać niekorzystne dla niej wyroki. Czasem są to wyroki kontrowersyjne, czasem jawnie głupie, czasem sąd nakazuje zapłacenie z kiesy państwa jakiemuś obywatelowi, i dobrze by było, żeby „sprawiedliwość była po naszej stronie”.

Pomysł, by spory rozstrzygał sędzia, wydaje się przyrodzony naszej cywilizacji, ale bynajmniej nieproste jest zrozumienie mechanizmu jego skuteczności. Można wykombinować, że wbrew temu, co się potocznie o nim myśli, nie jest zasadniczą sprawą, by sędzia był sprawiedliwy. Zasadnicze jest właśnie to, że jest z punktu widzenia stron sporu... nieprzewidywalny. A w każdym razie nie do końca przewidywalny. Istotą jest ryzyko, jakie niesie ze sobą wejście w spór. Przez nie strony są zmuszane do polubownego załatwiania spraw albo wręcz do niedopuszczania do sporów. Tak, drogi czytelniku. Nieźle działały różne sądy boże, które oparte były o przypadek. Zamiast sędziego z dobrym skutkiem można użyć rzutu monetą, byle nie oszukaną. No tak, robi to sędzia piłkarski, gdy zawiodą rzuty karne, ostatnią deską ratunku jest ten rzut monetą. Jednakże symetryczną, bo inaczej dojdzie do [wojny futbolowej](#).

Jak giną cywilizacje naprawdę? Chyba można wysnuć pewne hipotezy, niepokojące i warte przemyślenia. Po pierwsze, wszystko, czyli rozkwit takiego Egiptu czy Rzymu, opiera się na osiągnięciu stanu wyższego porządku niż w otaczających je plemionach. Ów stan wyższego porządku zazwyczaj opiera się na kilku prostych pomysłach, które likwidują coś, co zatrzymywało rozwój. Np. kodeks Hammurabiego, ustanawiając „oko za oko”, ograniczał wielkość zemsty do tego jednego oka.

Ważne jest to, że nie każda umowa jest dobra. Są pomysły złe. Na przykład wielokrotnie stosowana zasada odpowiedzialności zbiorowej, odwrotność „oko za oko”. To ona prowadziła do eskalacji konfliktów i zamiany drobnego zdarzenia w konflikt całych plemion. Bo wystarczyło, żeby ktoś wybił innoziemcowi oko, by innoziemcy za to jedno ślepie spalili całą wioskę, i już mamy wojnę jak się patrzy. Otóż chodzi o dobre zasady, jak „oko za oko”, i umowy, by się tych dobrych zasad trzymać. Wówczas społeczeństwa się rozwijają.

Można toczyć boje, czy to właśnie, o czym za chwilę, jest istotą rzymskiej zasady, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie. Może nie istotą, ale zapewnia ona, że nikomu nie będzie się chciało wchodzić w konflikt bez ważnego powodu. Nie zapewnia ta zasada sprawiedliwości w tym sensie, że przed sądem zostanie na przykład ustalone, kto ukradł naprawdę bochenek chleba. Za to zapewnia jakiś elementarny porządek, piekarz nie popędzi do sądu, o ile nie przedsięwziął wcześniej normalnych środków zapobiegawczych przeciw kradzieżom, nie znalazł świadków, a złodziej – choćby był sędzią z zawodu – nie może być pewien, że się wykpi. Nie opłaca się kraść, nie opłaca się rzucać oskarżenia bez dowodów.

To dobra zasada, podobnie jak „oko za oko”, zauważmy jednak też, że nie jest łatwo przewidzieć ani że są dobre, ani jak zadziałają. Pomiędzy nimi a ich skutkami za wiele jest owych kół zębatach i przekładni.

Warto sobie uzmysłowić, że te dobre pomysły na życie w społeczeństwie z reguły kłóciły się z potocznym myśleniem o sprawnym działaniu państwa i pojmowaniem sprawiedliwości. Bo przecież ta sprawiedliwość musi być po naszej stronie, a sam pomysł, że spór w którymś momencie w jednoznaczny sposób może zostać rozstrzygnięty i zakończony, choćby metodą „oko za oko”, nie mieści się we współczesnych głowach i bynajmniej filmowa historia Karguli i Pawlaków nie jest potrzebna. Choćby w polityce, i to nie tylko naszej, polskiej, strony zazwyczaj najchętniej powyrzynałyby się nawzajem, a jeśli tego nie robią, to głównie przez ryzyko, że stracą część wyborców.

Przez jakiś czas udaje się grupie umownie zwanej elitą utrzymać społeczną umowę, że np. godzimy się na rozstrzyganie sporów przez sędziów, i przez ten czas nie gnębią ludzi zajazdy, nie działa niszcząca vendetta, kraina się rozwija – aż do czasu, gdy ktoś wpadnie na pomysł, żeby pakt wypowiedzieć. Ot i wszystko. Społeczeństwu tylko na chwilę udaje się sięgać tej mądrości, by kończyć spory choćby sądami bożymi.

Co się stało Majom? Po okresie rządów mężów sprawiedliwych i niekłótlivych pojawili się tacy, którzy zapewne odmówili pracy przy kanałach nawadniających, tacy, którzy zakwestionowali umowę, kto ma władzę. Wystarczyło.

Konkluzja jest dość smętna. Cywilizacja, choćby taka na poziomie budowy piramid, trzyma się na kilku umowach, zaś sensowność umów, konieczność ich zachowywania, jest jasna dla niewielkiej grupy ludzi. Także we współczesnych czasach. Lwiej większości ciężą one i przeszkadzają. Potrzebna jest wielka praca, by oduczyć ludność ściągania towaru z półek i uciekania z nim między stragany, wielkiej roboty, by szanowali pisarzy, którzy nie noszą kamieni na piramidy, a jedynie coś tam liczą na swoich papirusach.

Wystarczy dość niedługi okres spokoju, trochę dobrobytu, i ludzie zapominają, że trzeba płacić za towar i kształcić pisarzy. Myślę o tych pisarzach z czasów starożytnego Egiptu, co hieroglify znali i potrafili spisać umowę między piekarzem a budowniczym. Czy ktoś przypomina sobie, że tzw. wspólna Europa powstała po największym w dziejach mordobiciu, dziś przedmiocie radosnych rekonstrukcji historycznych, czyli II wojnie światowej? Dopiero wyrżnięcie dziesiątek milionów ludzi, zburzenie miast, które budowano niemal od tysiąclecia albo ponad dwóch, uzmysłowiło ludziom, że to, co robią, nie ma żadnego sensu i znacznie lepiej zawrzeć umowę, a potem jej dotrzymywać. Tak piszą gazety z wrażeń obozów politycznych, aliści poczytajmy i zastanówmy się, czy to próba namówienia ludzi do dochowywania paktów, czy chodzi o dowalenie politycznemu przeciwnikowi?

Jak sobie poczytamy nie te co trzeba gazety, to na całym świecie mamy problem tak zwanego populizmu. A co zazwyczaj za pomysły mają wodzowi tych ruchów politycznych, ci wyraziciele woli ludu, występujący przeciw establishmentowi? Ano właściwie wszystko obraca wokół zerwania jakichś

umów. Tak, tak, wyjdźmy z UE, to nam nie będą dyktować, kontrolować, i nie będziemy im płacić. I ciekawe, jak wielu ludzi nie dostrzega, że oni nam też nie wypłacą. No cóż, o kilka trybików za daleko.

Tak, drogi czytelniku, jak pomyszkować po historii, to wszelkie rewolucje i idące za nimi nieszczęścia zaczynały się od przekonania, że wystarczy zerwać krępujący nas pakt, że choćby trzeba za chleb płacić piekarzowi, a szewcowi za buty, że jakieś rzeczy są jego, nie moje, i nie wolno ich zabierać. I jak pomyszkujemy i posprawdzamy, to właściwie większość pomysłów, jakie mają współcześni reformatorzy, jest właśnie tylko taka: paktów nie dochowywać.

Już Homer wiedział, że aby zbudować napięcie, trzeba widzowi przedstawić przed oczy wizję nadciągającego nieszczęścia. Albo to będzie kasandryczna wróżba Kasandry, albo wizja nacierających nocą na siebie wojowników z wrażliwych obozów, która musi się skończyć jatką.

Niestety, by dostrzec skutki wspaniałego pomysłu, by zerwać pakta, potrzeba było zapewne wiele tysiącleci doświadczeń, nim najświatlejsi Rzymianie doszli, że jednak nie warto być wiarołomnym, i jest sprawą oczywistą, że współczesny widz, czytelnik czy tak zwany obywatel decydujący, czy dotrzymać, czy nie, ma do tego za słabą głowę. Za wiele trybików w tym zadaniu, by je prawidłowo rozwiązać, zatem zakładamy, że będzie tak, jak byśmy chcieli.

Dlatego prawie nikt się nie boi. A tymczasem cywilizacje nigdy nie upadały z powodu deszczu, suszy, szarańczy, trzęsień ziemi czy wybuchów wulkanów. Owszem, kataklizm jak wybuch Wezuwiusza niszczył kawałek jakiejś okolicy, ale imperium nie był w stanie zrobić szkody. Nam też nie zagraża ani brak ropy (czyli peak oil), ani dziura ozonowa, ani efekt cieplarniany, ani wirus Ebola, ani burze słoneczne niosące elektryczne blackouty, także nie straszliwe cyberataki, środki antykoncepcyjne, stosowanie azotoksu i torebek foliowych, elektrownie atomowe, nawet nie upadek planetoidy czy wybuch superwulkanu.

Cywilizacja okazuje się dość zawiłym mechanizmem, w którym muszą współdziałać zarówno technologie wytopu żelaza, jak i technologia organizacji wymiany handlowej. Jeśli nie będziemy dbać o szkolnictwo, to w pewnym momencie zabraknie pisarzy czytających hieroglify i szlag trafi cały dorobek starożytnego Egiptu. Precyzyjny mechanizm składający się z wielu współdziałających ze sobą kółek łatwo uszkodzić.

Wystarczy zwykle, by ludzie zapomnieli, po co się umawiali, by zakrzyczeć nieliczną grupkę rozumiejącą choćby to, po co jest niezależność sędziego piłkarskiego, a wojna futbolowa wisi w powietrzu.

Czy może nas czekać taka przyszłość jak w filmie - choćby „Mad Max”? Ano... jak się rozejrzeć po świecie, moim zdaniem może, jak najbardziej. Wystarczy niewiele zamieszania, a diabli wezmą technologie informatyczne. Bo w istocie, choć prawie wszyscy ludzie wiedzą, że smartfon działa, nieliczni mają pojęcie o tym, jak coś napisać dla Androida, a tych, którzy potrafią przeprowadzić drobne 200 procesów od monolitycznego krzemu do układu scalonego, jest naprawdę garstka. Garstka jest również tych, którzy przerobią piasek krzemowy na ów krzem monokrystaliczny. Ponoć jest tylko jedna firma, która oferuje monokryształy najwyższej czystości, bez których trochę produktów (ponoć matryce aparatów) nie zadziała.

Wystarczy, by zniechęcić kilku pisarzy i mikroelektronika spadnie o poziom niżej, na którym kolejnych kilkadziesiąt jajogłowych zajmie się czymś innym. Wystarczy za coś nie zapłacić, podnieść myto, z kimś się pokłócić, i tur, tur, piach między koła maszynierii wpada. No i cóż: rolę pismaka SF jest wernyhorzyć, kasandryć, ostrzegać przed nadchodzącą apokalipsą.

Niestety, apokalipsa jest niezrozumiała, złożona ze zbyt wielu zębatek. Kto uwierzy, że wyjęcie jednej spowoduje, że wszystko pokręci się w drugą stronę? A na dodatek zasadniczą cechą Kasandry, bez której nie byłaby ona nośną literacko postacią, jest to, że nikt jej nie wierzy.

Adam Cebula